

Kłątwa Mubaraka

28 kwietnia 2012

Jak tak dalej pójdzie, to w wyborach prezydenckich w Egipcie do urn można będzie wrzucać tylko puste kartki. Dlaczego? Bo zabraknie kandydatów.

Kampania prezydencka w Egipcie coraz bardziej przypomina baśnię z 1001 nocy, gdzie jedna sprawa nieoczekiwanie przechodzi w drugą, a z jednego wątku rodzi się następny. Prawie każdy z 23 kandydatów jacy do wyborów stanęli okazał się supłem do rozplątania. Normalne pytanie w każdych takich wyborach brzmi: który z nich zwycięży? W Egipcie pytanie to już brzmi: czy któryś z nich w ogóle przetrwa pierwszą turę?

Po 30 latach rządów Mubaraka nad wyborem jego następcy wisi kłątwa w postaci uchwalonej za Mubaraka konstytucji i bardzo restrykcyjnych przepisów ordynacji wyborczej, z których praktycznego znaczenia mało kto zdawał sobie wcześniej sprawę. Zaczęło się od pierwszego faworyta, prawnika i kaznodziei nazwiskiem Hazem Abu Ismail, który miał poparcie radykalnych mas muzułmańskich. Szedł ku zwycięstwu jak burza, głównie na fali antyamerykańskiej retoryki, gdy nagle okazało się, że jego nieżyjąca już matka uzyskała kiedyś obywatelstwo USA, o czym nikt w rodzinie nie wiedział. A to w świetle obecnej konstytucji czyni go potomkiem cudzoziemca i wyklucza z kandydowania. Abu Ismail podejrzewa, że to obywatelstwo to jakiś pośmiertny prezent, który jego matce podstępnie zrobił Departament Stanu specjalnie po to, aby go utracić, skoro inne sposoby zawiodły, ale wykluczenie czołowego faworyta otworzyło serie dalszych podobnych utraczeń. Egipt jest krajem ogromnego, chronicznego bezrobocia i prawie nie ma tam rodziny, która nie miałaby bliskich krewnych, wyjeżdżających za chlebem za granicę. Zaraz więc okazało się, że kolejny kandydat, też islamista, Abdel Moneim Abolfotoh, rokoszanin z Bractwa Muzułmańskiego ma paszport Kataru. Mohammed Selim al-Awa, kolejny islamista miał z kolei ojca Syryjczyka, który osiedlił

się w Egipcie, kiedy za Nassera tworzył on wraz z Syrią Zjednoczoną Republikę Arabską. Odpadło więc dwóch kolejnych.

Na czoło wyścigu wysunął się Amr Moussa, b. minister spraw zagranicznych i szef Ligi Arabskiej, bardzo popierany przez Waszyngton i Tel-Awiw, aż nagle gruchnęła wieść, że jego matka była Żydówka, a na dodatek w Egipcie prowadzone było przeciw niej dochodzenie z oskarżenia o szpiegowanie dla Mossadu. Ponieważ ten kandydat jest dla pewnych kół bardzo ważny i potrzebny, a ewentualne dowody przeciw jego nieżyjącej już matce znajdują się w rękach urzędu pod kontrolą Najwyższej Rady Sił Zbrojnych (po arabsku al-Madżlis al-'Aala lil-Kułłat al-Musallahhah , skrót angielski SCAF), która de facto zawłaszczyła rewolucję, nie ma pewności jak zakończy się ta sprawa i czy kandydat się ostatecznie czy nie.

Na pewno jednak sąd wykluczył już innego bardzo ważnego kandydata, mocnego człowieka wysuniętego oficjalnie przez Bractwo Muzułmańskie, który mógłby Amrowi Moussie poważnie zagrozić. Był to Chajrat el-Szater, biznesmen, który za Mubaraka siedział 12 lat w więzieniu za politykę. Ale Konstytucja Mubaraka nadal obowiązuje a ta stanowi, że nikt kto miał wyrok nie może kandydować na urząd prezydenta. Nawet jeśli siedział za walkę z Mubarakiem. Wyrok sądu w tej sprawie praktycznie wyklucza całe Bractwo z wyścigu prezydenckiego, bo wszyscy jego aktywiści mają za sobą wyroki poprzedniego reżimu. Ostatnim i najsłabszym kandydatem Bractwa pozostaje najmniej z nich wiarygodny Mohammed Morsi.

Zrozpaczone Bractwo Muzułmańskie, które ma większość w parlamencie, uchwaliło pośpiesznie dodatkową ustawę, wykluczającą z ubiegania się o prezydenturę wszystkich b. funkcjonariuszy poprzedniego reżimu. Jest to rodzaj zemsty, która wprowadzie Bractwu nic nie pomoże, ale zaszkodzi trochę jego przeciwnikom. Na tej podstawie bowiem z wyścigu odpada m.in. b. szef wywiadu Mubaraka niejaki Omar Sulejman.

Po takim ciosie sąd, złożony z sędziów mianowanych jeszcze za

Mubaraka, wyszedł z kolejnym kontruderzeniem. Wydał decyzję wstrzymującą prace nad konstytucją prowadzone przez wyłoniony wcześniej zespół dla jej opracowania. Oznacza to, że na dzień wyborów (23-24 maja I tura, 16-17 czerwca II tura) na pewno nie będzie nowej konstytucji i wybory odbędą się w cieniu starej konstytucji Mubaraka. Sytuacja staje się tragikomiczna, bo do tej pory już wykluczono 10 kandydatów.

Egipska opinia publiczna postrzega tę groteskową sytuację jako majsterkowanie ze strony rządzącej SCAF, której władzę przekazał na odchodnym Mubarak. Na słynny już plac zwycięstwa w Kairze (Majdan al-Tahrir) znów wyległy setki tysięcy ludzi. Obok siebie demonstrują islamiści i lewicujący liberałowie protestując przeciw manipulacjom, które mają utrzymać SCAF u władzy. Powtarzają się żądania wykluczenia z wyborów b. szefa lotnictwa wojskowego Ahmeda Szafika, no i oczywiście Amra Moussy. Wydarzenia te ze szczególną uwagą obserwuje ambasada USA w Kairze, która ma ogromny wpływ na SCAF, podobnie jak miała na reżim Mubaraka. James Corbett, jeden z najbardziej kompetentnych analityków zachodnich uważa, że w wyborach egipskich zaznacza się nazbyt silnie interwencja obcych sił, a zwłaszcza interesy Waszyngtonu. Ameryce w zasadzie nie przeszkadzałby kandydat islamski, zwłaszcza z Bractwa Muzułmańskiego, ale za wszelką cenę chciałaby uniknąć ruchu lewicowo-nacjonalistycznego, takiego jaki np. reprezentował Nasser. Z tego względu rozgrzewanie się konfliktu na linii armia-islamiści jest dla sił zewnętrznych pożądane, gdyż trwale koduje scenę polityczną wzdłuż takiej osi. Nie wygląda więc na to, co podkreśla inny znany analityk Jacob Hornberger, prezes Fundacji „Przyszłość Wolności”, aby ktokolwiek chciał takiej kolizji zapobiec. To bardzo źle dla Egipcjan.

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)